Rok 1938 5 czerwca Nr 23

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"



ŚWIĘTA RADOSNE

Zielone, Zielone, Zielone,
Święta Zielone, radosne!
Duch Święty przenika przestworza,
Człowieka i ziemię i wiosnę.

Pachnie powietrze i słońce,
Słodyczą tchną tataraki,
Wonieją listeczki brzozowe,
W powietrzu zakwitły już ptaki.

Serca gorejà, gorejà!
Duch Święty w nich płonie, Duch Święty!
Rozumem nieogarniony,
A sercem tak łatwo objęty!

Rozjaśni plemię człowiecze
Zielonoświąteczna otucha:
Królestwo ziści się Boże,
Królestwo Świętego Ducha!

Ach, oto Zielone, Zielone,
Święta Zielone, radosne!
Duch Święty zstępuje na ziemię
I czyni w człowieku wiosnę...

Józef Ruffer.

PRZYBĄDŹ DUCHU ŚWIĘTY

Szybko upływa nam rok kościelny, w którym przeżywamy dzieje Jezusowego żywota. Od Betlejemu do Kalwarii, od radości do smutku, od okrutnej śmierci w poniżeniu do zwycięstwa w Zmartwychwstaniu pełnym chwały. Wciąż jesteśmy z Jezusem, a On z nami...

Ale już oto pożegnał się z nami, aby wrócić tam, skąd przyszedł, aby zakończywszy swój pobyt na ziemi wspaniałym w niebo wstąpieniem, zasiąść po prawicy swego Ojca, przebłaganego już dziełem Odkupienia za grzechy świata. Zakryły Go przed oczyma naszymi lotne obłoki — zostaliśmy jakoby sami...

Nie smucimy się jednak — wszak Jezus obiecał przysłać Pocieszyciela, Ducha Prawdy, co nauczy nas prawdy wszelkiej, iż będziemy umieli rozróżnić między dobrem a złem, między tym co jest Chrystusowe a tym co jest Jemu przeciwne.

Oto nadszedł właśnie dzień obiecany... Zbierzmy się wszyscy w cichym wieczerniku własnej duszy, własnego serca — pełni świętego oczekiwania, pełni skruchy i gotowości na przyjęcie tego światła Ducha Bożego, który mocą swoją zdolen jest sprawić w nas podobnie wielką odmianę, jaką uczynił niegdyś, gdy w postaci ognistych języków spoczął nad zebranymi apostołami.

Wszak tak bardzo potrzeba nam odmiany wewnętrznej — wszystkim i każdemu z osobna, tak, młodszym, jak starszym, dorosłym jak dzieciom. Potrzeba nam wszystkim światła w umiejętności rozpoznawania woli Bożej, potrzeba nam męstwa do walki z tymi, co by chcieli, byśmy tą Wolą Bożą wzgardzili, i potrzeba nam stałości do wytrwania przy sztandarze Chrystusowym aż do końca.

Prośmy i módlmy się o te dary wielkie dla całego narodu — wszak tyle zewsząd grozi Polsce zasadzek i niebezpieczeństw! Niechaj ją oświetli promień światła z nieba, by w mrokach zła, jakie świat zalały, widzieć mogła wyraźnie drogę swego posłannictwa.

Przybądź Duchu Święty! Oto prosimy Cię i czekamy w pokorze. **O.**

———oOo———

Na szczytach świata

Wśród milionów ludzi, którzy pędzą życie w jednostajnym trybie cichej, codziennej pracy, trafiają się inni, których jakaś siła wewnętrzna pędzi na odmienne zupełnie drogi, spokoju im nie daje przemożna potrzeba poszukiwania nowych światów, odkrywania nieznanych rzeczy, dokonywania czegoś, czego jeszcze nikt przed nimi nie dokonał.

Tacy ludzie — przeważnie zawsze o żelaznej, nieugiętej woli, o niesłychanej wytrzymałości na wszelkie trudy, o silnej wierze w osiągnięcie tego czego pragną, — przyśpieszają postęp ludzkości wielkimi krokami naprzód, wzbogacając ją w wiedzę, w doświadczenie, w rozum. Z takich właśnie ludzi pochodzą odkrywcy nowych światów, znakomici podróżnicy, nieustraszeni przyrodnicy, wynalazcy ukrytych w przyrodzie sił, chemicy, lekarze, konstruktorzy maszyn latających itd. itd.

Do takich ludzi też zaliczyć należy tych, których dokonane czyny żadnego właściwie nie przynoszą nikomu pożytku, a jednak oni spełnili je mimo, że za-

grażała im śmierć okrutna czy choćby tylko najstraszniejsze kalectwo. Czegoż bowiem np. szukać ma człowiek na najwyższych szczytach świata? Wszak o tym wie każde dziecko szkolne, że na wierzchołkach wysokich gór leży tylko wieczny śnieg, mrożący hula wiatr, zapędza się na krótką jeno chwilę zwinna kozica czy nieustraszony orzeł.

A przecież są śmiałkowie, dla których zdobycie takiego niebotycznego szczytu dzikich skał staje się nieodpartą koniecznością. Tu może znowu gra w człowieku rolę przemożna żądza dokonania czegoś nadzwyczajnego, wypróbowania swej odwagi, mocy, wytrwałości, choćby bez żadnej zasługi, chocby za cenę śmierci.

Niekiedy pcha zaś takiego człowieka jeno pragnienie wzniesienia się jak najwyżej po nad ziemię, oderwania się od wszystkiego, co niskie, przyziemne, pospolite, a przeniesienie się w świat inny — daleko od ludzi, bliżej Stwórcy, który te dziwy i cuda uczynił. Do tych ostatnich chyba należał w latach swej młodości obecny Papież, Pius XI, który jako świetny „alpinista“ często wdzierał się samotnie na wyniosłe góry swej ojczyzny. Może już wtedy w głębi jego duszy budziło się nieuświadomione przeczucie, że Bóg postawi go kiedyś na takim najwyższym szczycie duchowym świata, skąd ojcowskie jego oko sięgać będzie musiało po same krańce ziemskiego okręgu.

* * *

Do najwyższych szczytów górskich należy między innymi afrykański Kilimandżaro, sięgający 6.070 metrów wysokości. Wielu już było śmiałków, co się kusiło o zdobycie tego niedostępnego cyplu i wielu musiało od zamiaru odstąpić, nie mogąc pokonać straszliwych trudności.

Do szczęśliwych zwycięzców należał młody Polak, nazwiskiem Żakulski, który z garstką murzynów ruszył na zdobycie dzikiej góry. Niestety, jego czarni towarzysze opuszczali go jeden po drugim, zwłaszcza w najtrudniejszych częściach wspinaczki, woląc nie ryzykować życia.

O ostatniej nocy tak opowiada sam podróżnik: Ze szczytu góry zstępuje silny wiatr, szumi i jęczy między skałami, a doszedłszy do nas wywołuje w każdym jakieś niesamowite podrygi. Czarni postanawiają spędzić noc przy herbacie i ryżu, ale mimo to wszyscy szczękają zębami, a febryczne drgawki wskutek mrozu przejmują do szpiku kości. Wydaje się, że z każdą chwilą wicher się wzmaga, a tymczasem to człowiek traci coraz więcej ciepła...

Dopuściwszy murzynów do samego ogniska, Żakulski skulony, zmarznięty leży w worku na lodowych głazach, czekając końca nocy. Gdy wiatr słabnie, słyszy ciche szepty murzynów: „tatakafa wote“, co znaczy: pomrzemy wszyscy... Nawet najweselszy z nich, który zawsze swymi dowcipami rozśmiewał drugich, teraz leży smutny, żaląc się, że ma wodę w głowie, bo słyszy jak mu się ciągle przelewa z ucha do ucha...

O świcie wyruszył ku szczytowi młody Polak z jednym tylko murzynem, którego jednak niebawem zmogło śmiertelne znużenie. Żakulski pozostał sam.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z poezyj Juliana Ejsmonda

WIOSENNY SAD

Tak słodko, tak cudnie
zaszumiał gaj.
Uśmiecha się w słońcu
kwiecisty raj.
Śród bzów i jaśminów
cieszy się maj...

Rozbrzmiewa dokoła
ptaszęcy śpiew.
Sad pieści łagodnie
wiaterku wiew.
Śnieg kwietny opada
z wiśniowych drzew...

Weseli się w słońcu
najmniejszy kwiat.
I rajem się zdaje
wiosenny sad...
I rajem się staje
wiosenny świat...

Patrol Lwów

Powieść z życia obozowego pierwszych skautów polskich z r. 1912.
Napisał Kazimierz Kalinowski. — (Ciąg dalszy)

Gdy Janusz ze Stachem odbierali ich telegram, Leszek naradzał się z panem Rymszą, który ani myślał o opuszczeniu ich w tej chwili i ofiarował stanowczo swą pomoc. Oni dwaj bowiem jedynie z Zawiszą mogli po ciemku orientować się w znanym im dobrze, a obcym dla reszty terenie, rozważali więc, którędy byłoby najłatwiej dostać się bez straty czasu do zagrożonego druha.

Za chwilę ruszono w pochód, kierując się w ten sposób ku ognisku palonemu przez Bolka, by po drodze spotkać się z Rogowiczem i Bogusławskim. Wszystko odbywało się pośpiesznie, a przestrzenie, dzielące od siebie w rozsypce trzy części zastępu, malały. Bolek widać nie mógł z miejsca się ruszyć, kiedy przyzywając kolegów, rozniecił ogień i przy nim wyczekuje ich przybycia. Nie traci jednak humoru, mimo, że mu grozi jakieś niebezpieczeństwo, skoro druhom, idącym w jego stronę, uprzyjemnia marsz w mrokach nocnych, wygrywając na trąbce wesołe krakowiaczki i mazurki.

Wśród tego mały Tadzik z długonogim Mieczkiem, który na sposób skautowski używali na przemian to biegu to chodu szybkim krokiem, zdążyli połączyć się z Leszkiem i jego towarzyszami. Ze zdziwieniem zastali wśród nich kogoś obcego. Zaznajomiono się bez przystawania i również podczas dalszego marszu zdawano krótko i zwięźle raport przed zastępowym ze spełnionych obowiązków.

Objeżdżając konno zakamarki leśne, jakie im wskazał na mapie Leszek, pamiętający gdzie zazwyczaj w dobrach stryja zatrzymały się na kilka dni bandy cygańskie, dwaj skauci natrafili wreszcie na ślad po obozie. Zbadali miejsce to dokładnie i szczegółowo: przekonali się, że już ubiegłej nocy nikt tam nie nocował, że ogniska wygasły nie dawniej, jak wczoraj około wieczora, a gotowano przy nich jeszcze przed południem; wywnioskowali z różnych okoliczności, że było to niewątpliwie obozowisko cyganów; puścili się więc ich tropem. Wiodła ich ciągle kolejka wyżłobiona świeżo przez koła trzech wozów dwukonnych, na drogach leśnych rzadko używanych. Następnie na gościńcu, gęściej wyjeżdżonym i zadeptanym, to gubili to odnajdywali z powrotem ich tropy, przy czym ułatwiał im sprawę ślad charakterystycznej szczerby u jednego z kół i brak gwoździa w podkowie jednego z koni.

W ten sposób mogli byli jechać trop w trop za nimi od porzuconego obozu w lesie aż do nowej siedziby cyganów. Ale spotkawszy się z jakimś chłopem, wracającym z dalszej podróży właśnie z przeciwnej strony, wdali się z nim w rozmowę, z której, niby przypadkiem, dowiedzieli się o jego spotkaniu z trzema wozami cygańskimi. Okazało się, że przeniesiono się aż do Mielejczyc i Siemiatycz, gdzie miał się odbyć liczny zjazd cyganów, a skąd za tydzień postanowiono przybyć znowu w okolice grzybowskie.

W obec tego Mieczek z Tadzikiem powrócili do dworu, a nie mogąc się doczekać nikogo z towarzyszy, weszli wieczorem na sąsiedni wzgórek nadsłuchiwać czy się Lwy nie zbliżają na miejsce zbiórki zastępu.

Zawisza wysłuchawszy po drodze sprawozdania z ich misji, wydał rozkaz przyśpieszenia pochodu, zaczął się bowiem wraz z panem Rymszą orientować, że Barski znajduje się na niebezpiecznym trzęsawisku, pośrodku mokrej łąki, za którą zaczynała się dąbrowa. Skąd on się tam wziął, co tam miał do roboty o tej porze, nie umieli sobie sami odpowiedzieć i niecierpliwie oczekiwali chwili spotkania się z Bolkiem.

(Ciąg dalszy nastąpi)